

Tygodnik KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH



Rok V

Gorzów Wlkp., dnia 17 września 1950 r.

Nr 30

O naśladowaniu Chrystusa Pana

„KTO ZA MNĄ IDZIE, NIE CHODZI W CIEMNOŚCI (JAN VIII. 12), mówi Pan. Oto są słowa Chrystusa, któryymi nas upomina, abyśmy naśladowali życie i obyczaje Jego, jeśli chcemy oświecić się prawdą, a pozbyć się wszelkiej ślepoty serca.

A więc rozpamiętywanie życia Jezusa Chrystusa niech będzie główną szkołą naszą“.

Tymi oto słowami rozpoczyna św. Tomasz z Kempis pierwszy rozdział przepięknej książeczki przez siebie napisanej p. t. „O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa“.

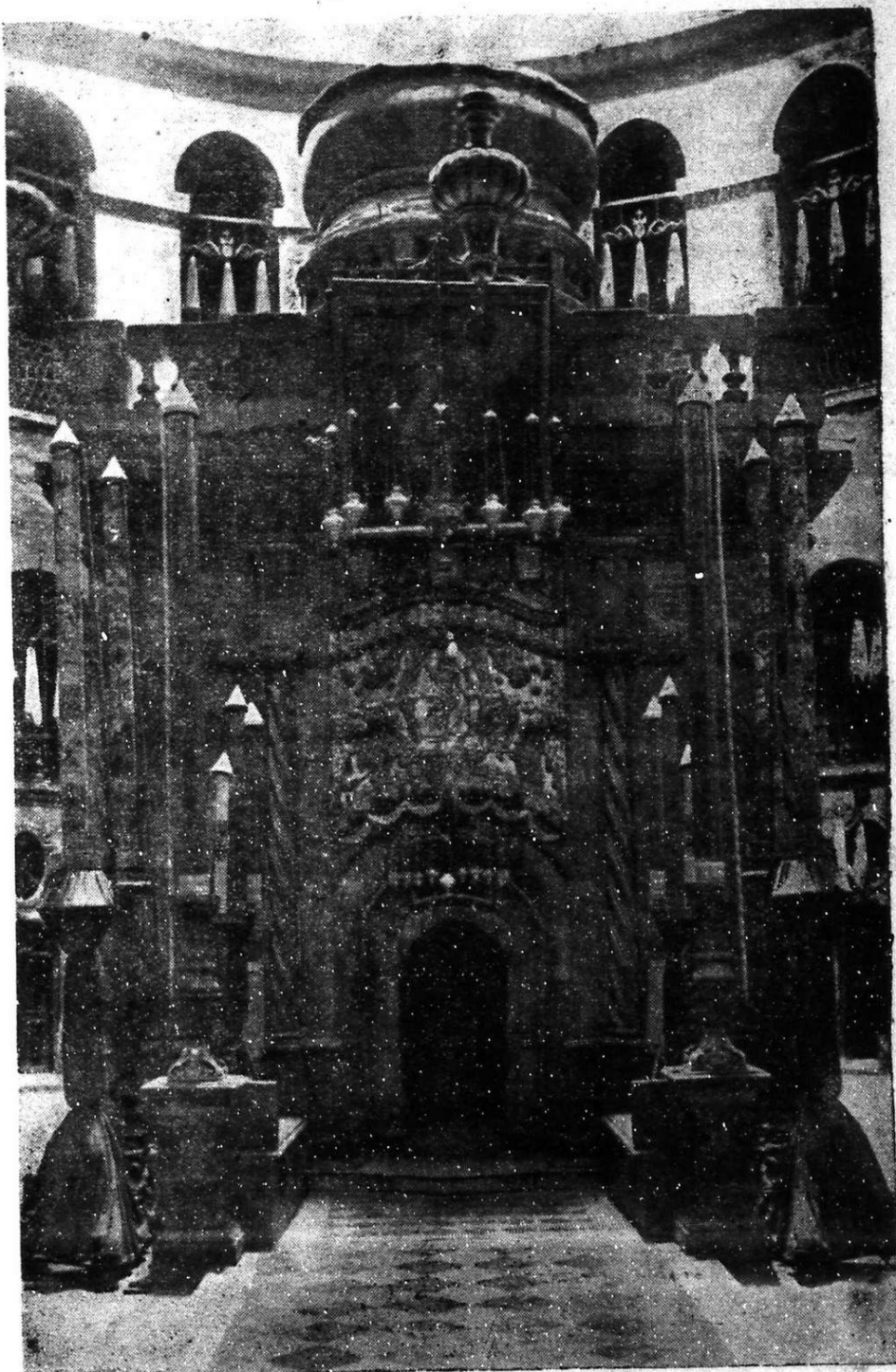
Nic też dziwnego, że książeczka ta, przetłumaczona na różne języki świata, rozchodzi się w tysiącach egzemplarzy wśród katolików po całej kuli ziemskiej, tak samo i w naszej Ojczyźnie. Co raz więcej jest zrozumienia dla tej pięknej, niedużej książeczki, a bogatej w treść. A kto ją raz przeczyta, książeczka staje się jego nieodstępnym towarzyszem i przyjacielem.

A teraz zastanówmy się, dlaczego mamy naśladować Jezusa Chrystusa — naszego Pana i Zbawiciela?

W Chrystusie Panu okazał nam Pan Bóg Swą nieskończoną miłość. Uczniami Chrystusa t. j. chrześcijanami być powinniśmy; a być nimi to znaczy nie tylko mówić do Boga: „Panie, Panie“, ale przede wszystkim znaczy cnotliwie i gorliwie naśladować przez całe nasze ziemskie życie Zbawcę świata. Jak się słońce w niezliczonych kroplach rosy odbija, w każdej z nowych wdziękiem, tak i życie Chrystusa Pana ma się odbijać w życiu chrześcijan-katolików, z coraz to nowym blaskiem.

Jakże szczęśliwym czuje się człowiek, który całkowicie odda się Chrystusowi, swojemu Zbawcy. Nie szuka on wtedy nic innego, jak tylko tego, czego Chrystus Pan szukał; pracuje, jak pracował Chrystus; znosi przykrości dnia codziennego, jak znosił je Boski Mistrz.

Bez Chrystusa Pana nic nie znamy, a z Nim znamy wszystko. On bowiem jest kamieniem węgielnym świątyni, którą ręka Wszechmocnego buduje, a my, tyle znamy ile jej częścią się stajemy. Pan Jezus jest wreszcie naszą głową. Czymże byśmy byli w naszym życiu bez Niej? On jest naszym Bogiem, a po śmierci będzie naszym Sędzią. Dokąd jednak żyjemy na ziemi, On jest naszym Zbawcą. Jeżeli duch Chrystusa Pana nie ogarnie serca ludzkiego, nic dziwnego że namiętności kielkować w nim poczynają, Bo serce ludzkie wzdycha za czymś wyższym, za jakimś



Wejście do grobu Pana Jezusa w Bazylice Jerozolimskiej.

ideałem. Potrzebuje wielkich myśli i wzniosłych przykładów.

Spoglądajmy na Chrystusa Pana — naszego Zbawcę. Rozważajmy Jego miłość ku nam. Wszak On tylko z miłości ku rodzajowi ludzkiemu przyszedł z nieba na ziemię. Z ludźmi dzielił codzienną pracę, trudy dnia powszedniego, dzielił nędzę ludzką, dzielił cierpienia różne. Pragnął, aby Go wszyscy naśladowali. A potem, po Swojej pracy nauczycielskiej, oddaje życie za nas biednych grzeszników, aby nam otworzyć bramy nieba, aby przygotować dla nas miejsce u Swego Ojca Niebieskiego.

A jednak... Jakże mało miłujemy Go w życiu codziennym, dlatego, że Go mało znamy, mało o Nim myślimy. Nie tylko siebie pytamy, co mamy czynić, aby przykazania Jego zachować, lecz dalej sięgając, pytamy jeszcze siebie, co więcej możemy zrobić, aby Mu się przypodobać? — słowem szukajmy doskonałości.

Czytamy w Piśmie świętym, że Chrystus Pan „wzrastał w mądrości i łasce u Boga i u ludzi”. A więc powoli z dnia na dzień. Czytając znów żywoty świętych, dowiadujemy się, ile pracy wkładali codziennie, by opanować swoje grzeszne myśli, swoje skłonności do złego, by mogli ujarzmić swoje wady a następnie zupełnie je wykorzenić, a tak — powoli, nie ustając w pracy i nie przejmując się pokusami szatana, ale mężnie je zwalczając, stawiali się doskonalszymi.

Wielu się stara o doskonałość, której dostąpić nie są w stanie, a zapominają o tej, jaka przystępna jest dla nich.

Każda cnota ma sobie przeciwny występki, przy tym każdej z nich towarzyszy wiele błędów, w które popaść można, jeśli się nieroztropnie i bez umiarkowania o nią ubiega. Każda bowiem z nich da się wykrzywić przez przesadę.

Najważniejsza rzecz — to sumienne spełnianie swoich obowiązków w życiu codziennym. Pan Bóg więc wymaga od nas, abyśmy przez to doszli do pewnego stopnia doskonałości. Nie przez co innego, ale właśnie przez codzienne, dokładne i sumienne spełnianie Jego Woli Najświętszej.

Chrystus Pan daje nam przykład, jak postępować. A my, jako Jego poddani, mamy Go naśladować właśnie w codziennym życiu.

Chcąc wiernie naśladować Pana Jezusa, musimy codziennie badać stan swojej duszy, zwłaszcza przy wieczornym rachunku sumienia, kiedy to staje nam przed oczyma cały, przepracowany dzień. Staję nam przed oczy nasze dobre uczynki któreśmy w ciągu dnia spełnili, oraz staję nasze grzechy i niedoskonałości, którymi w ciągu dnia Boga obrażaliśmy. Pamiętajmy wówczas o żalu doskonałym i przeprosimy Boga za nasze przewinienia.

Starajmy się naśladować Jezusa w życiu codziennym, spełniając gorliwie, sumiennie i dokładnie swoje obowiązki, jako chrześcijanie-katolicy. W pracy tej, pomoże nam ta złota książeczka św. Tomasza i Kempis, jaką jest „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”. Otrzymać ją możemy w każdej księgarni katolickiej. Cztaijmy ją chętnie i dawajmy innym do przeczytania. Każdy przeczytany rozdział tego dzieła niech nam posłuży przynajmniej za jeden krok naprzód w dążeniu do doskonałości chrześcijańskiej.

Marian Jamrozik

Tak działa łaska Boża

Gdy młody faryzeusz Szaweł w owym przełomowym dniu jechał z Jeruzalem do Damaszku, serce jego płonęło strasliwym ogniem. Całe jego wnętrze przepełnione było nienawiścią do Jezusa z Nazaretu.

— Ale gdy przybył do Damaszku, niszczy pełnomocnictwo, które ze sobą przywiózł. sam chce być uczniem Chrystusa i tylko to czynić, czego chce od niego Chrystus. Zar nienawiści wygasł w jego sercu; inny ogień poczyna w nim płonąć.

Co zaszło z Szawłem między Jeruzalem a Damaszkiem? Czym została spowodowana ta całkowita przemiana jego duszy? Światłość z nieba, podczas gdy oślepiła na jakiś czas jego cielesne oko, oświeciła oko jego duszy; łaska Boża trafiła duszę gorliwca i rozpalila w niej miłość. Teraz zobaczył postać i działalność Jezusa, jego cudą, jego śmierć i zmartwychwstanie, które dotąd stale widział w zniekształconym rysunku faryzeuszów, innymi oczyma. Teraz spadły mu łuski z oczu i jak setnikowi pod krzyżem stało mu się jasnym: Ten Jezus był więcej niż człowiekiem: był Synem Bożym.

I od chwili gdy jego rozumowi stało się jasnym: Jezus jest Synem Bożym i prawdziwym Mistrzem, od tej chwili dla jego woli stanęło również silnie: do Niego należą odąd aż do ostatniego tchnienia i aż na całą wieczność ze wszystkimi siłami mego ciała i mego ducha, całą mocą mojej energii i całą miłością mego serca.

Tak działa łaska w duszy człowieka. Tak działała we wszystkich, którzy dusze swe skierowali do prawdziwego celu, do nieba: oświeca ona rozum, ażeby poznał, co jest dobre a co złe; porusza i wzmacnia wolę, ażeby do tego co poznała jako dobre, również poważnie i usilnie zdążyła, i ażeby to co poznała jako złe, odważnie i stanowczo od siebie odrzuciła, jak Szaweł swoje o wiele

bardziej dla niego niż dla chrześcijaństwa zgubne pełnomocnictwo. Tak działała łaska Boża w duszy Andrzeja z Betsaidy, gdy Jan Chrzciiciel powiedział słowa: „Oto Baranek Boży!” Tak działała w duszy świętej Rzymianki Bibiany. Tak działała łaska w duszy Franciszka Ksawerego: poprowadziła go aż do Japonii i na setki tysięcy liczą się dusze, które on dla Chrystusa pozyskał. Ale nieopisane były także ofiary, które z łaską Bożą poniosł. Tak działała łaska i dziś jeszcze w duszach ludzi. Łaska Boża wywodzi misjonarzy w odległe kraje pogańskie i wzmacnia ich w życiu pełnym ofiar, gdy chodzi o to, by nieśmiertelne dusze pozyskać dla Chrystusa. Łaska Boża dodaje sił kapłanom, aby nie tracili sił i ażeby dzień za dniem dalej się modlili, dalej pracowali dla Chrystusa. Łaska Boża tak wielu młodzieńcom wskazuje drogę ich wiecznego przeznaczenia i dopomaga im iść ku wyżynom. Łaska Boża w duszach tak wielu mężczyzn i kobiet uprzytomnia prawdę, że za wszystkie ofiarne wysiłki w tym życiu nastąpi sprawiedliwe wynagrodzenie w życiu przyszłym. Łaska Boża tak wielu starców bierze na końcu za rękę i jak przez zmurszały mostek prowadzi w lepszy żywot.

Wszystko, co czynimy dla nieba, dla Boga, dla wieczności, wszystko to dzieje się przez łaskę i bez łaski nic nie możemy. „Albowiem Bóg jest, który sprawuje w nas i chce i wykonać według dobrej woli”, mówi św. Paweł. (Fil. 2, 13). I Jezus sam mówi jasno: „Beze mnie nic czynić nie możecie” (Jan 15, 5).

Wszystko, co musimy robić, aby dojść do nieba, działa łaska Boża; ale w tych tylko może działać, którzy sami współdziałają z nią, którzy zdecydowanie jak Szaweł mówią: „Panie, co chcesz, abym czynił?” Łaska Boża i nasza dobra wola muszą się razem łączyć.

WL. N.

Narodzenie Marii

Kościół święty przyjdzie na świat tej uprzywilejowanej Istoty tej Niebiańskiej błogosławionej między wszystkimi, która od wieków była przeznaczona na Matkę Syna Bożego — wita tymi słowami: „Święćmy z radością Narodziny Błogosławionej Marii, aby się wstawiła do Pana naszego, Jezusa Chrystusa”. Dziecina, która na świat przychodzi to „jutrzienka zaranna” zwiastująca przybycie „słońca sprawiedliwości”. — Przeto, jak mówi św. Ambroży „jest przybytkiem Ducha Świętego i wolna od zmyły grzechu pierworodnego.

Maria ujrzała światło dzienne w Nazarecie, w tym samym domku,

w którym Słowo Przedwieczne Ciałem się stało, a który czcimy dziś w świecie jako jeden z najcenniejszych zażytków chrześcijaństwa. — Kolebka Marii Dzieciny, to ten pierwszy ołtarz, z którego wznosi się Bogu miła ofiara, zachwycająca całą Trójcę Najświętszą, jednocząca niebo z ziemią.

Maria przyszła na świat, nie tylko wolna od grzechu pierworodnego, lecz obdarzona takimi łaskami, że po Bogu jest Ona Istotą Najświętszą, jest arcydziełem Wszechmocy Boskiej.

Dlatego też niebo i ziemia radują się dziś, iż narodziła się ta, z którą przyszło nam zbawienie. St. J.

**EWANGELIA NA 17 NIEDZIELĘ
PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO
św. Łukasz (7, 11 — 16).**



Młodzieńcze, tobie mówię: wstań.

W on czas: Wybrał się Jezus do miasteczka zwanego Naim i szli z Nim uczniowie Jego i mnoga rzesza. Gdy zaś zbliżał się do bramy miasteczka, oto wynoszono zmarłego, jedynaka pewnej matki, która była wdową; a rzesza z miasteczka szła z nią w wielkiej liczbie. A widząc ją Pan ulitował się nad nią i rzekł do niej: „Nie płacz!” I przystąpiwszy dotknął się mar, a ci, co niesli, stanęli. Wtedy rzekł: „Młodzieńcze, rozkazuję ci: wstań!” A zmarły siadł i zaczął mówić. I oddał go matce jego. A wszystkich przejął strach i chwalili Boga mówiąc: „Wielki Prorok powstał wśród nas, a Bóg łaskawie wejrzał na lud swój”.

**PRZECZYTAJ TO WYJAŚNIENIE
LITURGICZNE**

Kościół św. opłakuje śmierć grzesznika tak, jak matka wdowa opłakuje śmierć jedynego swego dziecka. Myśl tę rozwija dzisiaj Msza św., zapewniając nas, że „Bóg nawiedził lud swój“ (EWANGELIA) i że Pan Jezus, tak jak wskrzesił owego syna ubogiej wdowy w Naim tak i dziś wskrzesza dusze ludzkie obumarłe i oddaje je Kościołowi. O to właśnie się modlimy w KOLEKCIE Mszalnej, aby miłosierdzie Boże „nieustannie“ uświęcało i chroniło Kościół św. jako wierne dzieci Kościoła, odrodzone „na duchu“ przez sakrament chrztu św. i pokuty, nawet jeśli by kto z nas przez niebacność dopuścił się takiego upadku, to staramy się go w duchu miłości na drogę dobra znów naprowadzić, jeden drugiego brzemiona nosząc, jak poucza nas dzisiaj LEKCJA. We dnie i w nocy wychwalamy przytem Chrystusa Pana, „króla wielkiego nad wszystką ziemią“ (GRADAUŁ), a sakrament św. w Kościele św. strzegą nas od wszelkich napaści szatańskich (KOMUNIA), i przenikają łaską Bożą dusze i ciała nasze, żeby już nie „zmysły“ kierowały nami, ale „ta łaska Boża“ dawała nam na-technienie i moc do czynu. (POKOMUNIA).

Młodzieńcze wstań!

Pan Jezus całe życie swoje poświęcił człowiekowi. W całej Ewangeli św. nie mamy wypadku, któryby nie ilustrował tego poświęcenia.

Jezus nigdy nie odmawiał prośbie człowieka. Z kimkolwiek się spotykał, gdziekolwiek przebywał, zawsze zostawiał namacalne ślady miłości człowieka. Cierpienie, nędza i ból do głębi Go poruszały. Najwyższym zaś współczuciem napędzała Go żaloba. Z tkliwą dobrocią podchodził do umarłej córki Jaira i wskrzesza ją, w powadze Bożej wielkości, potęgą swojego słowa wraca życie już rozkładającemu się Łazarzowi.

Scena natomiast przedstawiająca spotkanie Chrystusa z orszakiem żałobnym u bramy miasta odtwarza Go w pełni bólu i powagi. Boski Zbawiciel każe stanąć orszakowi pogrzebowemu i wskrzesza syna jedynaka wdowie z Naim.

Chrystus nie chce śmierci, bo przyszedł na ziemię dawać życie, by wszyscy „życie mieli i obficie mieli“. Dbą o życie ciała, o jego zdrowie. Dlatego wskrzesza, leczy, karmi i uzdrowia. Tego jednak za mało. Jezusowi chodzi o rzeczy istotniejsze. Zdrowy musi być duch, ten żywy twór Bożej

woli — siedlisko siły moralnej człowieka. Chrystusowi więc chodzi o rzecz najważniejszą. Trzeba, by duch ten był świetlany. Dlatego uczy, wskazuje, ostrzega — po prostu idzie za nim, szuka go a znalazłszy choćby umarłego — ożywia. Co znamienne, Chrystus tak dalece kocha życie, że nie tylko otacza się ludźmi w powadze wieku, ale ludźmi młodymi, pełnymi energii.

Wiele matek zapomina właśnie o tym. Płaczą bo synów utraciły. Jednych przez występki, innych przez śmierć lub rozłąkę. Szczęśliwe o ile w płaczu swym matki także natkną się na współczujące serce Boga. Z pewnością nie odejdą bez pociechy. Jezusowe słowo „powstań młodzieńcze“, powstań z grzechu, z nałogu, z cierpienia i bólu, z oziębłości i zarozumiałości, a wrót do życia, stanie się olbrzymim dobrodziejstwem. Każda matka w utraconiu swym nie powinna bezzadnie załamywać rąk, lecz z ufnością i poddaniem woli Bożej spieszyć choć z synem umarłym na spotkanie z Chrystusem. Wróci wówczas utracone życie łaski, wróci radość i szczęście, zrodzone ze spotkania z Bogiem i z wszczepienia się w niego.

K. J.

ŚW. GWIDON, 1012, 12 WRZEŚNIA

Gwidon był synem biednego chłopca, obrabiającego swój kawałek roli w okolicy Brukseli. Już jako mały chłopiec, zdradza wielką skłonność do życia duchownego, pracował pilnie z rodzicami swymi, ale jeszcze pilniej tak przy pracy na roli, jak i wolnych chwilach się modlił. Gdy w latach młodzieńczych odprawił pielgrzymkę do Laken, tego miejsca łaskami słynącego, tamtejszym zakonnikom wpadła w oczy jego niezwykła skromność i pobożność. Zaofiarowali mu posadę kościelną. Gwidon żyjący z swymi rodzicami w biedzie i ciągłym niedostatku, z radością przyjął tę pracę. Był wzorowym zakrystianem. Zajęcia miał dużo, jako że Laken było miejscem licznych pielgrzymek. Dużo się tam odbywało nabożeństw, dużo też pielgrzymi narobili nieporządku w kościele. Gwidon zawsze zajęty był czyszczeniem świątyni Bożej. Nie cierpiał pajęczyn i kurzu. Obrusy na ołtarzach zawsze musiały być lśniaco białe, lichtarze i naczynia liturgiczne błyszczące. Kościół był jego stałym miejscem pobytu. Często nawet noce spędzał w nim na modlitwie.

Ale i najlepszego człowieka pokusy nie oszczędzają. Do Gwidona przybył pewnego razu bogaty kupiec, który u niego zanocewał. Człowiek ten, widząc bezwzględna uczciwość Gwidona, zaproponował mu udział w swoim interesie. Przedstawił mu, że jako kupiec, będzie mógł zarabiać dużo pieniędzy i jeszcze więcej dobrego czynić

ubogim i klasztorom. Gwidon poszedł za głosem kusiciela, ale już pierwsze kroki w jego zawodzie były tak niefortunne (pierwszy okręt kupiecki na którego pokładzie stanął, zatonął że ledwo się Gwidon uratował). Wówczas oczy mu się otwały, porzucił pracę u bogatego kupca i wrócił do swego kochanego kościoła w Laken.

Pod koniec swego życia odprawił św. Gwidon pielgrzymkę do grobów apostołskich w Rzymie, a nawet do samej Ziemi Świętej, co na owe dawne czasy było bardzo uciążliwe i niebezpieczne. Gdy powrócił, dawni jego znajomi nie mogli go poznać. Wynędzniał przez choroby, upały i trudy podróży, a duża broda, którą zapuścił do cna go zmieniła.

W miejscu pierwszej posady kościelnego w Laken, zakonnicy przyjęli czcigodnego pielgrzyma z honorami i pielegnowali go aż do śmierci, która w krótkie nastąpiła, ponieważ siły sterał na uciążliwej pielgrzymce.

Do świętego Gwidona modlą się nasi kościelni i te osoby które zajmują się czyszczeniem i zdobieniem kościołów. Upraszają sobie za Jego przyczyną podobną swemu św. Patronowi staranność w spełnianiu swoich obowiązków. Wszak troska o ład i porządek w domu Bożym jest zajęciem szlachetnym, choć często przez niektórych niedocenianym.

St. J.

Wychowanie dziecka

Rodzice i w ogóle wychowawcy należyćie zdawać sobie powinni sprawę z tego kto wychowuje dziecko.

Pierwszymi, którzy mają naturalny tytuł do wychowywania potomstwa są niewątpliwie rodzice dziecka. Oni zawsze są ważnym czynnikiem wychowawczym. Ich wpływ sięga głęboko. Z woli Bożej postawieni są na pierwszych i czołowych wychowawców potomstwa. Jest to ich wielkie prawo i wielki obowiązek, od którego uchylić się nie mogą. Z chwilą przyjęcia na siebie tytułu ojcostwa, czy macierzyństwa przypada im w udziale obowiązek wychowania potomstwa. Z tego też obowiązku zdawać będą szczególnie rachunek przed Bogiem, który powierzył ich opiece duszę dziecka.

Rodzice, obcując wciąż z dzieckiem, wychowują je czy to świadomie, czy też bezwiednie. Im bardziej świadome to wychowanie, im więcej oparte na znajomości duszy dziecięcej, tym lepsze daje wyniki. W wypadkach nieumiejętności i złego podejścia — wyniki są gorsze. Rodzice powinni zaznajomić się z metodami wychowania, aby osiągnąć jak najbardziej pomysłne wyniki.

Kościół postawił swoje wychowawcze pełni z wyraźnej woli Boga. Ma wielkie zalecenie Pańskie wychowania i prowadzenia w duchu wiary członków swojej owczarni.

Srodki wychowawcze Kościoła w swych skutkach są potężne i zbawienne. Wielki autorytet nie ludzki lecz Boży. Rozporządza mocą sakramentów świętych i dostojenstwa swojej nauki, która podbija swoją pięknoscią i szlachetnością dusze ludzkie. W tym wszystkim dziecko czuje tchnienie wielkości Boga, którego władaniu chętnie poddaje swoją duszę.

Państwo misję swoją spełnia za pośrednictwem szkoły prowadzonej przez nie bezpośrednio, lub zostającej pod jego kontrolą. W wychowaniu szkolnym poza ogólnymi zasadami wychowawstwa odgrywa główną rolę osobowość nauczyciela. Nie tyle wychowuje program,

ile nauczyciel, ile jego osobowość. Jeśli to jest jednostka umiejająca autorytet swój narzucić swym wychowankom wpływ ten może być bardzo wielki i często wychowawczo krystalizujący postawę młodego człowieka w zakresie różnych zagadnień. Z tego wynika, że nie jest rzeczą obojętną dla rodziny i państwa kto uczy, kto wychowuje. Nauczyciel powinien być jednostką wysoko moralną i szlachetną, by godnie wypełnił swą szczytną misję wychowawczą.

Każdego człowieka wychowują nie tylko ci wychowawcy oficjalni jak ojciec, matka, kapłan, nauczyciel. Wychowują ją też wychowawcy nieoficjalni, przygodni, przypadkowi. Do takich należy w pierwszym rzędzie rodzeństwo.

Rodzice często mało sobie zdają sprawę z faktu wzajemnego wychowania się ich dzieci w rodzinie, wzajemnego ich na siebie wpływu. Tymczasem znaczenie współwychowania w łonie rodziny jest olbrzymie. I trzeba przyznać, że jest na ogół dodatnie. Trzeba stwierdzić, że na ogół dzieci w łonie jednej rodziny stanowią dla siebie nawzajem pozytywny czynnik wychowawczy. I jeżeli w rodzinie jest gromadka dzieci, przez wytworzenie sobie wspólnego świata zainteresowań, zabaw itd. doskonale wychowują się wzajem i zmniejszają możliwość wpływów szkodliwych od innych przygodnych wychowawców z poza domu. Dlatego z punktu widzenia wychowania dziecka stanowczo pożądane są rodziny liczniejsze. Z takich wychodzą częściej ludzie społecznie więcej urobieni, mający więcej miłości bliźniej, zrozumienia potrzeb innych, wczucia się w drugich; takie dzieci mają więcej subtelności, delikatności, taktu.

Przeciwnie. Jedynaki, dzieci, którym kalcetwo jedynactwa zabrało współwychowawców jakich daje rodzeństwo, są zwykle niedokończone wychowawczo. Są wychuchane przez rodziców, są rozrośnięte i tegie ciałem, charakterem stoją stanowczo niżej. Mają w sobie często samolubstwo, pychę, nie liczenie się z drugimi itd, itd. Kalcetwo jedynactwa odbija się zwykle na nich przez całe życie.

Sumujemy nasze rozważania. Wychowują rodzice, Kościół, szkoła, rodzeństwo, towarzysze przygodni. Idealem będzie, gdy spełnią swe obowiązki rodzice, gdy dusza dziecka podda się wpływowi Boga, gdy szkoła należyćie wypełni swą szlachetną misję, gdy współrodzeństwo będzie dobre i wreszcie, gdy dopiszą towarzysze w klasie i towarzysze zabaw. Wtedy napwno z wychowanka wyjdzie pełny człowiek, co jest głównym zadaniem wszystkich wychowawców.

Z. Grzybowski.

Czy dziecko zna Boga

O różne rzeczy muszą się troskać rodzice dla dzieci swoich. Dbać muszą dla nich o chleb codzienny, i odzież, o mieszkanie, o wykształcenie. Bez liku trosk i kłopotów wciąż spada na umęczone nieraz głowy rodzicieli. Jak mogą tak wywiązujać się ze swoich zadań. Ważniejsze załatwiają na przód mniej ważne odsuwają na później dalsze odkładają na plan całkiem daleki.

Prócz obowiązków w stosunku do ciała dziecka ciąży na rodzicach pewne obowiązki w stosunku do duszy dziecka. Podstawowym takim obowiązkiem rodzicieli jest nauczanie dziecka zasad wiary, wszczepienie duszy dziecka w Boga, zbliżenie jej do Boga i danie jej tego Boga, na dół i niedolę życia.

— Czy dziecko twoje zna Boga? — oto pytanie jakie stawiamy dzisiaj ojcu i matce.

— Czy zna go wystarczająco, należyćie.

Większość ojców i matek sądzi, że ich obowiązek w zapoznawaniu dziecka z Bogiem, kończy się na nauczaniu go pacierza, modlitwy. Ponieważ dziecko należyćie pacierz już umie, przeto uważają, że obowiązek ten wypełnili do końca. Są zadowoleni i dumni ze siebie, że wychowują dziecko po katolicku. Zdaje się, że ani Kościół, ani sam Pan Bóg na niebie nie może od nich więcej niczego żądać.

Oczywista, że nauczanie dziecka modlitwy jest czymś ważnym. Wszakże nie wolno rodzicom na tym skończyć wychowania religijnego dzieci. To dopiero początek. W miarę wzrostu dziecka trzeba wciąż dbać o to, by dziecko coraz lepiej poznawało Boga, by miało o Nim odpowiednią wiedzę.

Nie można zwać wszystkiego na kapłana. Musimy sobie powiedzieć otwarcie, że kapłan nie podoła sam wielkości zadań które na nim ciąży. Zbyt mało wciąż mamy księży, zbyt wiele i to mocno różniczkowanej pracy ciąży na ich barkach. Troska o kościoły, których często wiele, nabożeństwa, szafowanie sakramentów, opieka nad chorymi, szkoła, w której wielka ilość młodzieży itd. Z trudem i pośpiechem mogą jako tako wykonać zadania. Trudno od nich wymagać za wiele. Są tylko ludźmi, którzy również jak każdy przeszli wojnę i gonią często resztkami sił.

Samy nie podołają wszystkiemu. To też odpowiedzialność za wiedzę religijną u dzieci spada na rodziców. Ojciec i matka jeśli ze swych zadań wobec Boga chcą się wywiązać, muszą przypilnować by ta wiedza religijna u ich dzieci była na odpowiednim poziomie, by zaspokoila i wystarczała dziecku.

Jak spełnić to zadanie?

Chodzić z dziećmi do kościoła na kazania. Słuchać uważnie, w domu rozważać oma-



Już rozpoczęliśmy pracę.

wiane problemy wspólnie z dziećmi i po swojemu, na sposób dziecku dostępny pogłębiać je w duszy dziecka.

Interesować się, czy dziecko przygotowało się na lekcję w szkole. Samemu przepytać i omówić lekcję. Jedną, dwie godziny w tygodniu na to może w domu się znaleźć.

Czytać gazety religijne. Zdobyć się na wydanie tych kilku złotych, przeczytać samemu, dać dzieciom, omówić z dziećmi. Przeczytanych gazetek nie niszczyć, ale je pilnie składać, w miarę możliwości oprawić w twarde okładki, by zawsze w domu na czas nudów i chwil wolnych było coś co niesie Boga pod ręką.

Czytać książki religijne. Czytać je najpierw samemu, a potem dawać dzieciom. Chować te książki po swoich domach jako skarb bezcenny. Nie niszczyć, nie palić.

Kupować książki religijne jako prezenty imieninowe, czy urodzinowe dla dzieci swoich. Kupować także książki, dla nich jako nagrody pilności.

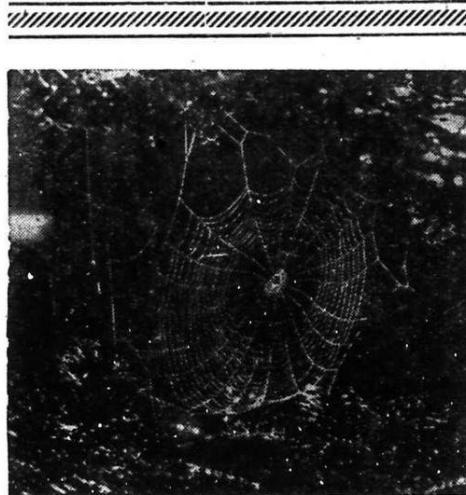
W każdym katolickim domu powinna być choć mała biblioteczka religijna, w której honorowe miejsce zajmowałyby Pismo św., potem katechizm i biblia, dalej książki omawiające zagadnienia religijne, żywoty świętych, oraz powieści o tematyce religijnej. Dobrych, poważnych, a przy tym lekkich w czytaniu książek religijnych znajdzie się u nas niemało. I dziś można niejedną dobrą rzecz kupić.

Aby pogłębić wiedzę religijną dzieci należy dalej omawiać z nimi różne problemy religijne aktualniejsze.

Dzieci rosną, poszerzają wiedzę w różnych gałęziach, niechże i w dziedzinach religii ją poszerzają. Bo są wypadki, że gdy w innych dziedzinach wiedzy jest w umyśle poziom uniwersytecki, w dziale religii ten poziom wiedzy zatrzymał się na granicy którejś tam niższej klasy. I czy dziw po tym, że ten i tamten człowiek zachwiał się we wierze, gdy jej właściwie nie znał? Czy dziw, że ją stracił, gdy jej właściwie prawdziwie nigdy nie posiadał? Czy dziw, że ją porzucił, gdy on nigdy piękna jej nie znał ani smaku zakosztował?

Głęboko trzeba szczepić w dusze młode Boga.

Z. Grzybowski.



Jesień nadchodzi.

KOŁOBRZEG

Pociąg Szczecinek — Kołobrzeg wlece się jak stara dorożkarska szkapą. Za oknem przesuwa się charakterystyczny, nieco monotony pomorski krajobraz: pola pełne żółtych zbóż, ciemno zielone lasy, tu i ówdzie błysnie błękitna tafla jeziora, a częściej czerwień dachów licznych osad wtopionych w rozległe sady.

I oto Kołobrzeg. Opuszczam nowozbudowany dworzec i idę zawrzeć znajomość z miastem. Dużo się pisało o walkach toczonych w Kołobrzegu (miasto zdobywała I Armia W. P.) o zniszczeniach spowodowanych przez zacięte boje. Rzeczywiście — Kołobrzeg jest straszliwie zniszczony. Domy, które kiedyś były domami, gruzi spiętrzone na pomniejszych ulicach, okaleczone świątynie — wszystko to składa się na surowe pełne plastycznej grozy wspomnienie minionej wojny, wspomnienie towarzyszące każdemu, kto przejdzie się ulicami Kołobrzegu. Tuż przy dworcu, na prawo, mijam rozdarte pociskami kościoły. Dalej — gruzi, wypalone i zniszczone domy, zawieszane w powietrzu schody, z których nikt nie korzysta, zasypane piwnice. W lecie zniszczenia nie wywołują jeszcze tak silnych i przynębiających wrażeń — Kołobrzeg jest miastem tonącym dosłownie w zieleni, zielenią pokrywa skrzętnie swoje rozdarte szaty — ale w zimie widok ruin musi być przykry. Ale i w tych ruinach iocalałych domach tętni życie. Ulice wyglądają wprawdzie nieco sennie, nie można się jednak temu dziwić, zważywszy, że na obszarze miasta, które niegdyś liczyło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, mieszka dziś na skutek ograniczonej liczby całych domów

wym, choć pięknym w swej zabytkowości zaułku, wychodziła urażona, z palącymi uszami, z gębą rozwartą złorzeczenie na „chamskiego ordynarnego sprzedawcę”. Pan Teofil klientki swoje załatwiał bowiem krótko i bezapelacyjnie. Nic nie miał na składzie, czego żądały, brakło mu czasu nawet na mówienie, a gdy która bardziej zdziwiona lub bardziej obdarzona przez życie tupetem, nie wychodziła od razu, księgarz wspinał się na palcach, ponsował na twarzy, maleńki nasek drgał mu pocieszenie, a wreszcie wyciągała się dłoń, której wskazujący palec niedwuznacznie wcale wskazywał kierunek na drzwi. Długo jeszcze potem mała figurka nerwowo uwijała się po swym sklepie, fukając jak jeź na szczególnie uprzykrzonego natręta.

Często przysiadł Pan Teofil na jednym z dwu starzych, z powypychanymi na wierzch sprężynami fotelów, spoglądał po długich zapylonych szeregach książek i odzywał się ni to do siebie ni to do kogoś z przyjaciół przypadkowo znajdujących się obok niego.

— Jedyne przyjaciele człowieka, wierny, niesprzedajny, to książki.

I łyskał groźnie oczyma, jakby szukając śmiałka, któryby śmiać może zaprzeczyć tej jego opinii.

To banalne, jakże nadużywane powiedzonko nabrało w ustach pana Teofila istotnego znaczenia.

Znajomość moja ze starym antykwariuszem trwała lat dziesięć bez mała. Zaczęła się u progu moich dni studenckich. Jako młody adept polonistyki oddałem się z pasją studiom literackim, pociągała mnie jednocześnie historia, próbowałem zgłębić psychologię, a także i o inne dziedziny wiedzy zahaczałem chciwym umysłem. Więcej w tym było chaosu jak realnego pożytku — dopiero z latami krystalizował się wyraźny kierunek zainteresowań, myśl potrafiła się skupić i nie rozbiegać na dziesiątne strony.

Jedno po dziś dzień pozostało mi z tamtych czasów — z lekka trącając manią jakieś zamilowanie do szperania w archiwach i bibliotekach, nie nużąc nigdy

pożegnać. Zawsze go coś gnało, nigdy nie miał na nic czasu.

I ten pospiech był drugim względem, wpływającym na poprawność, ba, nawet zażyłość stosunków ze starym antykwariuszem. Pan Skorzęcki nigdy nie zabierał wiele czasu. Załatwiał swoje i wynosił się czymprędzej.

W czasie, gdy poznałem dopiero zagubioną wśród krętych uliczek księgarnię, miał pan Teofil więcej podobnych sobie, dziwacznych przyjaciół. Przypominam jeszcze niezgrabną, koślawą sylwetkę miejscowego reagenta, szukającego w zapylonych papierzykach interesujących siebie dokumentów; z komórek pamięci wyłania się przede mną postać zemerytowanego sędziego, Leśkiewicza, szukającego w zapylonych papierzykach interesujących siebie dokumentów; profesora Borzęckiego, który zmarł, nie dokończywszy swej epokowej pracy o arianizmie, w szukaniu źródeł do której gorliwie wspomagał go stary księgarz, nie zapomnę nigdy radosnego, pełnego wewnętrznej pogody uśmiechu emerytowanego generała jowialnego staruszka o dużej wiedzy, fenomena pamięciowego gdy chodziło o jakiegokolwiek kwestie wiążące się z heraldyką; jeszcze kilka sylwetek przewija się gdzieś między niemi wspomnień, każda w swoim rodzaju, stylowa z pozoru dziwaczna. Jak wspominał kanonik, grono to kiedyś było znacznie szersze. Ale czas robi swoje. Część wymarła, część schorowana, odeszła już od ksiąg i notatek, innych odprawił od siebie mniej lub więcej delikatnie sam pan Teofil. Szczególnie od czasu historii z oryginalnym naukowcem Markowskim.

Historia ta już nie była mi obca. Wydarzyła się bowiem w rok jakiś od czasu, gdy przez wujka swego wprowadzony zostałem poraz pierwszy w to królestwo pana Skupieńskiego, gdzie przepędzić miałem potem przez lata długie godziny swego żywota.

Markowski, stary stetryczony kawaler, dosługiwał wtedy ostatnich lat emerytury. Niechlujny, niedomyty, w przekrzywionym krawacie, prześwił swym wyglądem nawet najbardziej wykarykaturzony typ naukowca z hu-

— około 7 tys. ludzi. Mocne wrażenie uczynił na mnie widok zniszczonej katedry. Potężny monumentalny gotyk wznosił swoje łukowato zakończone kolumny prosto w błękit nieba, rozpostarty nad nim zamiast stropu. Ogolone wnętrza, od zniszczonej podłogi bujnie zarosłej trawą, aż po szczyty uciętymi pociskami wień, owiane jest dziwnie groźną, niesamowitą ciszą, która brzmi jak wymowne ostrzeżenie przeciwko wojnie. Katedra będzie odbudowana. Na razie wykonuje się prace przygotowawcze i zabezpieczające. Kołobrzeg posiadał dawniej wiele kościołów. Niestety, większość z nich uległa większym lub mniejszym zniszczeniom. Obecnie czynne są dwa: parafialny — nieduża świątynia, z wyglądu obszerna kaplica, oraz garnizonowy. Parafia kołobrzewska nie ogranicza się jedynie do samego miasta, obejmuje również najbliższą okolicę, szczytając się łącznie 5 kościołami i 14 tys. dusz. Praca duszpasterzka, jak mnie zapewniał miejscowy ksiądz wikariusz, idzie zupełnie normalnie, chociaż tak duża parafia wymagałaby większej liczby księży. Obecnie jest ich tylko dwóch.

Ale wróćmy do miasta. Miasto, jak się rzekło wyżej, jest nieco sennie, spokojne, rzekłbyś — przeżywa jeszcze okropności niedawnych walk. Musiało być kiedyś bardzo ładne: jasne, długie ulice, szczerze porożnięte kompleksy drzew w połączeniu z sywetami licznych wień kościelnych dawały chyba efekt na długo pozostający w pamięci: Najpiękniejszą częścią miasta jest, bez wątpienia, dzielnica położona tuż nad brzegiem Bałtyku: ocienione drzewami wabi przyjemnym chłodem i szumem pobliskiego morza. Pełno tu zawsze krzykliwej dzieciarni, licznych kolonii młodzieżo-

wych i obozów harcerskich. Do Kołobrzegu zjeżdżają liczne wycieczki z całej Polski. Co jakiś czas pociąg wyrzuca ze swego dużego wnętrza grupy wczasowiczów i turystów, które prosto z dworca, najkrótszą drogą dążą na plażę. Do morza jest niedaleko. Przeszedłszy przejazd kolejowy, skreśliłem w ładną, cieniastą aleję i oto po chwili przekraczam bramę, na której widnieje z dala okazały napis: „Bałtyk, wita was”. Przez gęste krzaki i drzewa zarastające wał ochronny przebliskuje spokojna lekko niebieskawa tafla wody. Jesteśmy nad morzem. Jak okiem sięgnąć — jednostajna, delikatnie pomarszczona płaszczyzna, stapiająca się gdzieś daleko z gładką płaszczyzną nieba. Na wyniosłym brzegu po lewej stronie widać kołobrzeską latarnię morską. Plaża w Kołobrzegu jest imponująco długa.

Patrząc na rzesze kąpiące się młodzieży, na zdrowe, rozbiegane w poszukiwaniu muszelek dzieci, na liczną plejadę opalonych wczasowiczów, zażywających dobrze zasłużonego odpoczynku, trudno oprzeć się uczuciom kłępiącej radości. Bo przecież to morze, które tak szybko i bezboleśnie zmywa z ludzi całoroczne zmęczenie, które jest niewyczerpanym rezerwuarem tężyzny fizycznej i radości, jest naszym morzem, naszą bezsprzeczną własnością. Młodzież rozsiadła się na plaży i śpiewa, ile tchu w płucach: „Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziem strzec”. Stara, oklepana piosenka! A jednak tu, zmieszana z monotonnym szumem uderzających o brzeg fal, brzmi ona inaczej niż tam, w głębi kraju. Jest bardziej treściwa, bardziej prawdziwa. Młodzież (i nie tylko zresztą młodzież) kocha morze, kocha je tą wielką miłością, która towarzyszy człowiekowi przez całe życie.

Kołobrzeg ma wielką przyszłość przed sobą. Zarówno port jak i miasto. Odbuduje się. Będą doń corocznie powracać ci wszyscy, którzy owdzięcili przemożnym urokiem morza, zechcą w jego falach czerpać siły do dalszej pracy. Wycieczkowiczów będzie gościł Kołobrzeg coraz więcej. Na pewno już dziś wylania się problem zapewnienia wszystkim dachu nad głową. W Kołobrzegu jest tylko jeden hotel. Noclegu w nim nie otrzymałem z powodu przepełnienia. Sytuacja kiepska. Miałem za to na pocieszenie zachód słońca na morzu. Widok był imponujący, niezapomniany. Nie próbuję go nawet opisać. I Żeromski by tu nie pomógł. Ale samym widokiem zachodu słońca człowiek nie może żyć. Potrzeba mu strzechy nad głową. Kołobrzeżanie, postarajcie się o nią! Wtedy zjedziemy się do Was — jak to się mówi — masowo.

Tadeusz Haluch.

Największa wieś w Wielkopolsce

Największa wieś w Wielkopolsce Zabikowo pod Poznaniem była świadkiem w b. r. niecodziennej uroczystości. Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny obchodziło 100-lecie rocznicę założenia i nader żywotnej i wychowawczej zbożnej działalności.

Uroczystości jubileuszowe Służebniczek odbyły się u grobu swego Założyciela Sługi Bożego Edmunda Bojanowskiego, którego szczątki spoczywają w bocznej krypcie kaplicy Zakładu Sióstr Służebniczek w Zabi-

morystycznych piśmideł. Ciągłe robił notatki, zbierał materiały, przepisywał godzinami wyciągi ze starych druków do niepomiernej ilości rozpoczętych, ale niekończących nigdy prac. Zaledwie zdążył wgrzyźć się w jakiś temat, już zaczynało go nęcić nowe zagadnienie, pasjonowało z dnia na dzień coraz bardziej, aż wreszcie poprzedni rękopis rzucał w kąt i zabierał się do nowej pracy. I tak w kółko.

Stary księgarz pozwalał profesorowi buszować wśród swoich skarbów, jak bodaj nikomu innemu. Choć żył na niestałość pracy, wierzył w talent Markowskiego i w to, że się wreszcie usatkuje i dokończy jakiejś pracy naprawdę epokowej. Miał słabość do zaniechanego naukowca...

Po wieloletnich staraniach okreśną drogą udało się panu Teofilowi dostać, aż z za granicy, egzemplarz pewnego dzieła będącego już prawie nieosiągalnym białym krukiem. W przystępie szczerości pochwalił się zdobyczą przed Markowskim. Trzeba trafiać i była to rzecz, która dawała temu ostatniemu gruntowne, mocne dopełnienie argumentacji najnowszej planowanej przezeń pracy.

Po kilku dniach antykwaryusz zauważył brak używanego dzieła. Przetrząsał wszelkie zakamarki, szukał książki we wszelkich możliwych miejscach, choć z góry w swoją niuwigę nie wierzył. Zbyt cenil książki, szczególnie te, których poszukiwał latami, by z pedanterią, z pietyzmem nie składać ich w skryte, zaciszne miejsce. Dla uspokojenia coraz mocniejszych podejrzeń szukał jednak. I dopiero późnym wieczorem, gdy wreszcie się wyprostował i zaczępnął w zmęczone płuca większy łyk zakurzonego powietrza swego lokalu, po stwierdzeniu braku stało się pewnością. Białego kruka ktoś ukradł. Kto, o tym był przeświadczony pan Skupieński najmocniej.

Stała się rzecz niesłychana od lat. Późnym wieczorem stary księgarz narzucił na siebie wyrudziały płaszcz, mocno podniszczone buty wsunął w zawielkie, czapiące przeraźliwie kalosze, do ręki przeźornie wziął służącą

ku osłonie od deszczu paru conajmniej już pokoleniom, parasolkę. Długo zaryglowywał drzwi, sprawdzał starannie zamki. Wtedy odetchnął, prędko zbiegł po drewnianych, nadbutwiałych schodkach i przez kłuczające zaułki, a potem brudne, gwarne ulice podążył na drugi koniec miasta, kędy w skromnej facjacie, zupuszczonej tak niesamowicie jak i jej właściciel, zamieszkiwał, Markowski.

Nie znał nikt bliższych szczegółów, w jaki sposób odzyskał stary księgarz swą zgubę. Faktem było to jedno, że sądne dni nastały teraz dla przyjaciół bliższych i dalszych pana Skupieńskiego. Witac ich teraz potrafił obelżywymi słowami, wypędał niemiłosiernie. Ja sam, nastuchałem się niemal o swych szpiegowskich, niecnym zamiarach, o podmówieniu mi do kradzieży książek przez Markowskiego itd. Dopiero po miesiącu burza się jakoś uspokoiła. Do dawnych łask wrócił kanonik, kustosz i rejent, generał, mój wuj, a za jego pośrednictwem i ja, choć długo jeszcze trwał, zanim wkupiłem się ponownie we względy pana Teofila i nim przestał podejrzliwym okiem wodzić za każdym moim ruchem. Inni już wstępnie nie mieli. Każdy z nich przecie mógł być złodziejem... Pan Skupieński stał się bardzo ostrożny po tym rozczarowaniu życiowym.

Przeżył bo ich już rzeczywiście niemało. Najmocniejsze jeszcze w czasach młodości z własną żoną, która po paru latach pożycia zostawiła małżonka swego samotnie, odchodząc w świat z nowym wybrańcem serca, który nie był może zbyt mądry, ale zato nie siedział dniami i nocami nad starymi książkami, umiał się bawić, tańczyć, umiał brać i dawać miłość kobiecie...

Pan Teofil bowiem, choć kochał ogromnie, nie wyznawał się bliżej w trudnych arkanach sztuki miłosnej. Bo i skąd? Ale odejście żony przeżył ogromnie głęboko i nabrał z tym momentem nigdy nie wygasłej awersji do całego rodu niewieściego. Nienawidził kobiet, czy to podlotków, młodych mężatek, czy starych panien czy wreszcie leciwych matron. Gdy którą przypadkiem zapędził czasem do interesu księgarskiego na smrodli-

kwie. W uroczystościach jubileuszowych wzięli udział Prymas Polski J. E. Ks. Arcybiskup Stefan Wyszyński i J. E. Arcybiskup poznański ks. Walenty Dymek.

„Tygodnik Katolicki” szeroko rozpisany był już o Słudze Bożym Edmundzie Bojanowskim. Warto jednak wspomnieć jeszcze o tym wielkim i zasłużonym Wielkopolanie, którego zasługi, wielkie cnoty i pracowitość urosły ponad miarę człowieka. Edmund Bojanowski urodził się 14. XI. 1814 r. w miejscowości Grabonog koło Gostynia. Rodzice jego Walenty i Teresa z Umińskich wpajali już w zaraniu młodości w duszę Edmunda szlachetność, wiarę i miłość, ukochanie ojczyzny, rozebraną przez zaborców. Od dziecka też za przykładem rodziców pałał pobożnością, a szczególnie miał wielkie nabożeństwo do Matki Bożej, za wrócone jako beznadziejnie choremu dziecku zdrowie. Przebywał też w ulubionym przez siebie miejscu, siedzibie Matki Boskiej Pocieszenia w Górze Duchownej, mieszcząc na plebanii. Z widokiem na kaplicę i kościół górecki przy otwartym oknie w czasie choroby brał żywy udział w nabożeństwach, z natchnieniem wsłuchiwał się w rzewne melodie pieśni maryjnych. Tutaj wreszcie 7. VIII. 1871 r. kończy swój cnotliwy, pobożny żywot.

Nauki niższe i średnie odbywa i kończy w domu. W roku 1832 wyjeżdża na studia do Niemiec, gdzie kształcił się we Wrocławiu i Berlinie. Obraca się tam stale wśród protestantów i wolnomyślicieli — wiary jednak nie zatacza, owszem pogłębia ją, przy pomocy kapłanów-naukowców, pogłębia również wiedzę religijną i życie wewnętrzne. Pragnienia wstąpienia do Seminarium Duchownego i zostania kapłanem z powodu choroby nie ziszczają się. Z pokorą w sercu z losem się pogodził i wszystko zdał na wolę Bożą. Po studiach w roku 1839 powraca do kraju i w miejscu rodzinnym z zapalem zajął się pracą społeczną.

Nigdy nie kierowały nim osobiste ambicje lecz chęć służenia bliźniemu, miłość do ludu nad którego niedolą, upośledzeniem i biedą ogromnie bolał.

Z wzniosłości i ofiarnych, pełnych poświęcenia swych czynów daje się poznać w roku 1849, kiedy to osobiście z największym heroizmem i pokorą, prawdziwą samarytańską miłością pielęgnuje chorych na cholere. Wtenczas to zdał sobie sprawę, że siły jednego chorowitego człowieka nie zrobią dla potrzebujących wiele. Zaczął więc przemysłować i szukać sposobu nad stworzeniem zespołowej pracy społecznej i wychowawczej.

Zbożne myśli, dobre plany Bóg sam realizuje. Każdą dobrą sprawą kieruje i czule się opiekuje. I tutaj w tym okresie zwraca się do Bojanowskiego z radą o pomoc gospodni Franciszka Przewoźna. Dobra ta kobiecina zajęła się opuszczonymi dziećmi i gromadziła je w swoim domu w Podrzedzu, ucząc pacierza, katechizmu, przeprowadzając również z nimi gry i zabawy. Prosiła, teraz Bojanowskiego by urządził w jej domu ochronkę dla dzieci wiejskich, na wzór jaką utworzył swego czasu w Gostyniu dla sierot po zmarłych na cholere. Bojanowski propozycję przyjął ochotczo, pełen wiary i ufności w pomoc Bożą zabrał się do pracy. Zaraz więc postanowił wyszukać, przystosować, przeszkolić na ochraniarki dziewczęta wiejskie, co też udało mu się zrealizować. Znalazły się na początek ochotce trzy kandydatki, uczciwe, pobożne. 3 maja 1850 r. zaczęły przeszkolone ochraniarki pracę w domu Przewoźnej. Pamiętny ten dzień przyjęły Służebniczki za początek swego Zgromadzenia. Później Bojanowski przy pomocy OO. Kajsiowicza i Semienicki układa statut czyli pierwszą regułę zakonną

i wyjednywa opiekę Władz Kościelnych dla Zgromadzenia, które służyć miało Bogu.

W trudnych i ciężkich czasach w skromny sposób w największej prostocie ducha powstało Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, którego twórcą był Sługa Boży Edmund Bojanowski.

To też doczekał się, że Zgromadzenie w chwili jego zgonu liczyło już 127 sióstr

Dziś liczy ponad 3.000 i Zgromadzenia te poza Polską działają we Włoszech, Francji, Szwecji, Niemczech, Anglii, Irlandii, w Ameryce i Afryce.

W Polsce główne siedziby Zgromadzenia Sióstr Służebniczek znajdują się i rozwijają zbożną, społeczną działalność w Pleszewie Wlkp., w Starej Wsi, w Dąbicy i w Leśnicy na Śląsku.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

0 książce słów parę...

Już od dziecka przywarła do mnie opinia, że jestem złośliwy, na wszystko lubię patrzeć z ukosa, krzywym okiem, że wszystkiego umiem tylko zakpić, do świata podchodzę zgryźliwie, ironicznie, cynicznie niemal. Już to i matka miała z tym kłopot, że skarać Boże. Teraz ma żona. Prawda, że mnie rażą wszystkie wasze braki, niedociągnięcia, że walczę z nimi jak mogę. Nie dlatego żebym sam był bez winy, ale że czuję i rozumiem, wiele takie drobniaki, już nawet nie wady, ale małe, złe przyzwyczajenia szkodzą naszemu życiu, osłabiają jego pogodę, odbierają radość codziennego bytowania.

A szczypta ironii też przecie przyda się czasem, łatwiej wtedy ludziska to i owo zrozumieją, tym i tamtym się zawstydzają.

Nie myślcie, że jednak nie ma rzeczy, do których Czerepacha nie podchodziłby bez kpiny, bez ironii, a miękko, serdecznie, z sentymentem, z uczuciem. Są takie sprawy, są takie rzeczy. Nie potrafię choćby nigdy zakpić z dzieci. Kocham je, te małości i mam dla nich całe serce otwarte. Podobnie drugim takim dzieckiem jest dla mnie książka. Tu też nie wykrzeszę z siebie ni odrobiny jadu, złośliwości, satyry. Chyba, że książka jest plugawa, demoralizująca, pornograficzna. Ale też wtedy to już nie jest książka, a po prostu brud i świństwo.

Dziś ot też, tak mi się jakoś zebrało na sentyment. Pogadałbym na ten raz z Wami o książce. Oczywiście, znów po swojemu, ale bo przecie natury nie poprawisz. Jak kogo Pan Bóg stworzył Czerepachę, to tego nie odmieni, choćby i Książd Redaktor nie raz i nie dwa wypominał, że zanadto dokuczam czytelnikom. Dobre serce ma nasz książd redaktor, nikomu nie chce nic przykrego powiedzieć! Otóż jeśli jakie słowo przykre znów dla was będzie, nie gniewajcie się. Książka jest warta tego, żeby nawet gorzkie kazania Czerepachy wysłuchać...

Cóż to jest książka? Pamiętam z dzieciństwa, gdy jeszcze nie była mi znajomą trudna sztuka czytania i pisania, z podziwem a i strachem niejakim patrzyłem na te zsyte ze sobą kartki, pokryte drobnymi zuczkami. Zachodziłem w głowę, jak to ludzie mogą coś z tego wyczytać. Pótem już sam powoli zacząłem sylabizować, z zachwytem stwierdzać, że „Ala ma psa” itp. Wiedziałem już, czym jest książka. Ale czy naprawdę wiedziałem?

Zdaje mi się, że zrozumienie prawdziwe, pełne tego, czym jest książka, przyszło dopiero później. Wtedy, gdy w samotności zacząłem poznawać świat z kart książki, gdy wchłaniałem dorobek ludzkiej myśli i piękno ludzkiego życia i działania. Książka zbliżyła mnie do Boga, do Ojczyzny i do człowieka. Nauczyła mnie wielu rzeczy, pogłębiła, zaprzyjaźniłem się z nią, stała mi się drogą i nie do zastąpienia.

Od tego czasu zacząłem opiekować się książką. Chronić ją, dbać o to, by się nie zabrudziła, by się nie pomiała, nie zaplamiała. Pamiętałem, że nie ja jeden z niej korzystam, że będzie służyć ona jeszcze i innym, że innych będzie też uczyć, pocieszać, rozweselać. Doprawdy, o książkę zacząłem dbać bardziej niż o siebie.

Książka w Polsce nie była do niedawna chlebem codziennym, tak jak być powinna. Nie jest jeszcze nim w pełni i dzisiaj, choć się bardzo wiele zmieniło na lepsze. Nigdy nie mieliśmy tyle bibliotek, co dzisiaj, nigdy książki nie ukazywały się na świat w takich nakładach, ani nie znajdowały tylu odbiorców. Ale to jeszcze wszystko za mało. Książka musi stać się czymś nieodłącznie związanym z życiem każdego z nas. Musimy nauczyć się nie rozstawać z nią nigdy, umieć ją czytać i w domu, i w przerwie w czasie pracy, i w tramwaju i w lesie na przechadźce. Książka bowiem ciągle nas uczy, ciągle uszlachetnia, pokazuje jak należy żyć, co w tym życiu cenić, a co zwalczać, jako złe i niedobre.

Powinniśmy czuć głęboką wdzięczność dla książki, że jest, że ułatwia nam życie, daje radość, zmniejsza kłopoty i zmartwienia.

Mało będzie napewno takich, co się tu ze mną nie zgodzą. To wszystko jest jasne. Chciałbym również gorąco, żeby zgodzili się tak samo wszyscy z tym, co dalej powiem. Mało, nie tylko żeby się zgodzili, ale żeby i praktycznie w życiu tych rzeczy przestrzegali.

Obejrzyjcie książki w czytelni czy w prywatnej nawet bibliotece. Większość z nich ma pozakładane rogi, jest poplamiona, czasem nawet porysowana ołówkiem, albo popstrzona głupimi uwagami. Okładka jest brudna, wymięta. Często i kartek brakuje. Ot, ktoś chciał zawinąć śledzia, nie znalazł pod ręką kawałka innego papieru, wyrwał po prostu kilka kartek z książki. Jak nazwać takiego człowieka — zwyczajnie świnią! Bo czy pomyślał on o tym, wielu to ludzi dzięki niemu nie będzie mogło już zapoznać się z książką?

Zastałem kiedyś pannę Andzię przy czytaniu książki. Trzymała ją złożoną okładkami do siebie. Naturalnie, kartki odkleiły się przy tym od okładki, książka rozlatywała się na strony. Zwróciłem na to pannie Andzi delikatną uwagę. Obruszyła się na mnie.

— Nic to książce nie zaszkodzi. A jeśli nawet książka się i popsuje, to nic ważnego. Przecie wydrukowano jej sto tysięcy nakładu. Starczy dla wszystkich.

Oj, boję się, że nie starczy. Sto tysięcy nakładu, to napewno dużo. Ale pamiętajcie, wiele milionów ludzi czyta w Polsce książki. A takich jest też co dnia więcej. Nie stać dziś nas jeszcze, żeby każdą książkę wyda-



DOBRA MÓWL.

Czytając każdego tygodnia nasze pismo religijne „Tygodnik Katolicki” wielokrotnie natrafiłem, na artykuły zawierające bądź to sprawozdania z uroczystości, w różnych miejscowościach naszej Administracji Apostolskiej, bądź to same opisy życia ludzi w nich zamieszkujących. Nie spotkałem jednak dawno żadnej wzmianki o mieście Dobrej, chociaż o jej sąsiednich miastach jak Łobez, czy Nowogard już czytałem.

Obecnie chcę właśnie poświęcić kilka słów na temat Dobrej, albowiem i ona zasługuje na to, by Drodzy Czytelnicy „Tygodnika Katolickiego” coś o niej usłyszeli.

Miasto Dobra, tak jak wiele innych miast Pomorza Zachodniego, jest malowniczo położone. Dobra posiada jednak jezioro i to ogromnej wielkości, lecz nieco oddalone od miasta. Nad nim ludzie miejscowi, pragnący w porze letniej wypoczynku, spokoju, świeżego powietrza, spędzają czas wolny od pracy. Nie brak jest również i czasowiczów, przyjeżdżających tu z różnych stron Polski. Najbardziej jednak chyba z niego są zadowoleni amatorzy wędkarstwa.

Do Dobrej prowadzi wiele dróg. Większość z nich, to asfaltowe szosy wysadzone drzewami, najczęściej owocowymi. Jest również połączenie kolejowe. Mianowicie: do stacji kolei wąskotorowej w Dobrej, dojeżdżają pociągi osobowe ze Stargardu, oraz z Reska i Łobezu.

O przeszłości miasta możnaby dużo pisać, chociażby o samych ruinach starego zamku. W samym centrum miasta, tuż obok rynku, znajduje się świątynia, której wysmukła gotycka wieża, przypomina z daleka wieżę jasnogórską. Świątynia ta jest zbudowana w stylu gotyckim, a ufundowana została w XVI wieku. Z jej głównego ołtarza patronuje nad całą parafią św. Klara. Obecnie księdzem proboszczem jest tutaj Przewielebny Ksiądz Bronisław Jagiełło, który nie

wać w olbrzymich nakładach. Tym bardziej więc trzeba książkę szanować.

Mój dobry znajomy, Stefanek, lubi czytać książki przy jedzeniu. Mówiła mi kiedyś matka — nie czytaj przy jedzeniu, bo zjesz pamięć. Pamięci, to po prawdzie myślę, że tam Stefanek tak znowu nie zje, niestrawna będzie napewno. Ale że książka wysmucowana, brudna, zaplamiona tłuszczem i marmoladą, jest nieestetyczna, nieświeża, i że następnemu czytelnikowi wygląd jej sprawi przykrość, o tym Stefanek nie myśli. Chwała Bogu przynajmniej, że pozbył się już innej swojej wady. Oto kiedyś lubił na ostatniej stronie książki wypisywać swoją o niej opinię. Kogo to tam obchodził sąd Stefanka. Każdy miał swój własny. A książka była brudna, zeszpecona tymi hieroglifami.

Nie zawsze umiemy jeszcze w pełni szanować książki. A to jest objaw bardzo smutny. Trzeba z nim walczyć. Bo stosunek do książki jest miarą naszej kultury. Człowiek kulturalny umie obchodzić się z książką. Ceni ją, szanuje, dba o nią. Tylko niechluj pozwala sobie na macosze traktowanie książki.

A przecie nikt z nas nie chce być niechlujem. Każdy chce uchodzić za człowieka kulturalnego.

Postanówmy sobie od dziś — będziemy szanować, mało, będziemy kochać książki.

Jan Czerepacha.

szczędzi swych sił w budowaniu Bożego Królestwa w sercach wiernych. Lud tutejszy napłynął ze wszystkich stron Polski. Przeważająca jednak część w samym mieście, to Warszawiacy, na wioskach natomiast przeważają ludzie z Łódzkiego, Białostockiego i Kieleckiego.

Każda wioska ma tu swój kościółek, lecz w których odprawiają się Msze św. jest siedem.

Dwukrotnie już odwiedził świątynię w Dobrej J. E. Ks. Adm. Ap. Dr E. Nowicki. Pierwszy raz, gdy przybył w celu udzielenia Sakramentu Bierzmowania, drugi raz, aby wziąć udział w pogrzebie poprzedniego administratora parafii ś. p. Ks. Dziekana St. Popkiewiczza.

W tym roku z większych uroczystości tu odbytych, należy wymienić 1-szą Komunię św. Mimo nawału pracy, ks. proboszcz przygotował 60 dzieci do 1-szej Komunii św., w czym mu pomagały Siostry Zakonne. Ta spora gromada dzieci spragniona Chleba Anielskiego przystąpiła do Spowiedzi św., a następnie do Stołu Pańskiego w dniu 2 lipca. Wraz z dziećmi bardzo licznie przystąpili do Komunii św. ich rodzice, krewni i znajomi. Po Komunii św. dzieci otrzymały ładne pamiątki. Następnie spożyły wspólnie śniadanie a potem utrwalono na kliszy fotograficznej wszystkich uczestników 1-szej Komunii św. W ciągu całego dnia, widac było małe dzieci wspólnie wraz z rodzicami nawiedzające kościół, w celu uzyskania odpustów jubileuszowych.

Ostatnio obchodzono uroczyste odpust św. Klary. Na uroczystą sumę i procesję przybyli wierni z kościołów filialnych. Po niesporach procesja i uroczyste „Te Deum” zakończyło dzień odpustowy św. Klary, w Roku Jubileuszowym.

J. D.

SPROSTOWANIE.

Drogi i cierpliwy Czytelniku! Jeśliś uważnie przeczytał mój reportaż pt. „Nowogard — Szczecinek”, łatwo mogłeś zauważyć sporo pospolitych i zgoła niepospolitych błędów, które się doń wkładły. Spowodowane one zostały różnymi względami natury korektorsko-drukarskiej. O ile jednak niżej podpisany na rzeczzone względy patrzył dotychczas z wyrozumiałością pobłażliwością, o tyle teraz musi zabrać głos, albowiem przebrała się miara jego cierpliwości. A więc słuchaj, Czytelniku! W wspomnianym reportażu Pomorze Zachodnie to kraj uroczych jezior, a nie utożsamiających się dyszących polskością pełną dynamizmu, a nie pełnej, jak wydrukowano. Dalej: wcale nie pragnę, aby Pomorze Zachodnie przestało być krainą mieszaną, lecz pro prostu nieznaną (druga szpalta, 4-ty wiersz od dołu).

W Szczecinku natomiast kościół św. Mikołaja spłonął trochę wcześniej niż w 1905 r. bo w 1583. W 1905 r. zbudowano zaś nowy kościół, który dzisiaj jest kościołem parafialnym. O innych drobniejszych „byczkach” nawet nie wspominać, np. kościół posiada piękny ołtarz oraz profesjonalny wykonany z dużą dozą artyzmu, a nie piękny ołtarz z dużą dozą artyzmu. Jeśli w przyszłości lub nawet w tym sprostowaniu napotkasz, Czytelniku, błędy — nie denerwuj się, bowiem za Ciebie denerwuje się

Kościół i świat

— Zgon kard. Lavitrano. W dniu 2 sierpnia zmarł w Rzymie kardynał Ludwik Lavitrano, prefekt kongregacji dla zakonników. Kard. Lavitrano urodził się w r. 1874. Był arcybiskupem Palermo. W r. 1929 został mianowany kardynałem. W r. 1944 zrezygnował ze stolicy w Palermo i objął urząd prefekta kongregacji dla zakonników. Na skutek jego śmierci liczba kardynałów spadła do 53, czyli do liczby 70 brakuje 17.

— Kapelan Piusa X. W dniu 2 lipca zmarł w Rzymie ks. Bressan, były kapelan i sekretarz osobisty Piusa X. Ks. Bressan urodził się w r. 1861 koło Treviso. W chwili zgonu w 12 roku życia z ks. Sarto, który mu udzielił pierwszej Komunii św. i następnie wprowadził do seminarium duchownego, został kapelanem ks. Sarto jako biskupa Mantui, jeszcze przed otrzymaniem święceń kapłańskich. Odtąd przebywał z nim razem aż do śmierci ks. Sarto, który umarł jako papież w r. 1914. Brał udział w komisji dla reformy brewiarza i mszału. Benedykt XV zamianował go kanonikiem bazyliki laterańskiej, a Pius XI kanonikiem bazyliki watykańskiej i konsulatorem Kongregacji Obrzędów. W dniu 24 sierpnia br. miał obchodzić 65-lecie swoich święceń kapłańskich. Jednak półtora miesiąca przedtem zmarł.

— Dopiero 100 lat. Archidiecezja Nowego Jorku obchodziła setną rocznicę swego istnienia. W r. 1808 w Nowym Jorku powstała stolica biskupia, w r. 1850 stolica arcybiskupia. Archidiecezja liczy obecnie 1.260.328 katolików, 2.093 księży, 978 braci zakonnych, 7.981 zakonnic, 296 domów klasztornych.

— Kolonie wakacyjne dla starców. Francuscy katolicy wpadli na zdrową myśl: urządzenia „kolonii wakacyjnych” dla starców. Bo — powiedzieli sobie — myśli się tylko o dzieciach i młodzieży, a zapomina się o starcach, którzy w lecie również potrzebują wiejskiego powietrza. Jedną z takich kolonii prowadzi się w okolicy Lyonu; obejmuje ona 70 starców. Myśl piękna i słusza. Czy nie należałoby jej zrealizować także w innych krajach?

Tygodnik Powszechny.

— Dary pielgrzymów dla Ojca św. Narodowy holenderski katolicki związek pierwszej pomocy organizuje wkrótce do Rzymu pielgrzymkę swych członków w liczbie przeszło 500 osób. Pielgrzymi ci złożą Ojcu św. Piusowi XII w ofierze nowoczesne kompletne urządzenie szpitalne oraz album z podpisami wszystkich lekarzy, sióstr i pielęgniarek zatrudnionych przez związek.

dostatecznie Ksiądz Redaktor tudzież autorzy naszpikowanych „bykami” artykułów. Trudno. Korekta i drukarnia to także swoista forma srogich kar za liczne grzechy osobników rodzaju ludzkiego.

Tadeusz Haluch.

ORGANISTA Z KWALIFIKACJAMI
poszukuje posady w miasteczku lub większym osiedlu.

Zgłoszenia do Redakcji.

Wydawca: Administracja Apostolska. **Redaktor:** X. Kazimierz Łabiński.
Adres Redakcji i Administracji: Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.
Telefon 739 — P. K. O. V-854/113 Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.
Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł.
Ogłoszenia w cenie 120 zł za jeden mm wysokości w jednej szpalcie.
Tłoczono w Poznańskich Zakładach Graficznych — Oddział Kościan — 991 — 50.
K-1 — 19534 — 18. 9. 50. Druk ukończono 21. 9. 50